

WALERY PRZYBOROWSKI.

# CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

19)

Antek nie mógł na razie zrozumieć Stanisława, więc począł gwałtownie i nerwowo dopytywać się, jak, co, kiedy, a gdy dowiedział się o wszystkim, rzucił się z powrotem, wrzeszcząc:

— Ubiję psiakrew! ubiję jak psa wściekłego! I skoczył jak szalony z powrotem, a stryjaszek Józef śmiał się cicho i gadał, że spóźnił się „jak te karabiniery w operetce”.

Tymczasem Stanisław, zostawiając Antkowi poszukiwanie Anielki i zemstę nad Jasińskim, powłókł się stękając do pokoju pani Schmid. Chcąc się tam dostać, trzeba było przejść przez sypialnię panny Anieli. Panował tu straszny nieład, który oświecała błękitna ampla, wisząca u sufitu. Łóżko było zmiepte, poduszki i materace leżały na podłodze, krzesła poprzewracane, świadczące o upartej obronie dziewczyny. Ale Stanisław rzucił tylko okiem na to wszystko i pospieszył przez napół uchylone drzwi do pokoju pani Schmid, skąd dobywał się jakiś jękliwy szept.

Pokój ten był oświetlony lampą, stojącą na stole i panował w nim nienaruszony spokój i porządek. Na środku tylko na podłodze, leżał rozerwany szary papier, z napisem na nim „10,000 rubli“, dobrze znany Stanisławowi, co dowodziło, że zbójce zabrali pieniądze pani Schmid. Ona sama klęczała nieruchoma, w koszuli tylko, z głową w rękach schowaną, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i głosem jękliwym szeptała:

— Najświętsza Panno, Twoja nie moja niech się dzieje wola. To za grzechy moje, za grzechy! Zawiniłam ciężko i słusznie mię karzesz. Ale karz mnie, nie moje dziecię, o Panno święta, Panno najlepsza, ratuj mą córkę, ratuj! ratuj! Ona nic niewinna, tylko ja, tylko ja grzesznica! Matko Boga Wszemmocnego ratuj me dziecię!

XXVII.

Po burzliwej nocy, gdy jasne, wesole słońce zaśniało nad dworem w Górach, obraz zniszczenia, dokonanego tu przez bandytów, ukazał się w całej grozie. Okna powybijane, drzwi wchodowe rozbite na drzazgi, meble potłuczone, lustra potrzaskane, ściany kulami poorane, oto następstwa tego zuchwałego napadu. Zrabowali oni pieniądze Anielki i pani Schmid, worek z banknotami pani Zenobii, na koniec wydobyli z kasy ogniotrwałej, którą rozbili na szczątki, całą schedę Stanisława, ogółem pięćdziesiąt pięć tysięcy rubli w gotówce.

Ale te straty materyalne, jakkolwiek bardzo znaczne, były niczem w obec zaborstwa pani Zenobii, porwania Anielki, ciężkiej rany zadanej Orczykiewiczowi, który mężnie bronił drzwi wchodowych, nie mniej ciężkiego potłuczenia Stanisława i stryjaszka Józefa. Całe szczęście, że bandyci schwyciwszy pieniądze, jak prędko napadli, tak jeszcze prędzej się wynieśli, może dlatego, że zbudzona strzałami wieś, poczęła się ruszać i chłopci uzbrojeni w kosy zaczęli się gromadzić. Ilu było bandytów, niepodobna było odgadnąć; Stanisław zapewniał, że ten, który go w korytarzu kolbą od rewolweru uderzył w czoło, był Michaił Srułowicz Mojsiejew. Poznał go po głosie, który doskonale zapamiętał z czasów pierwszego wiecu w starej szopie.

We dworze zresztą panował chaos i nieład i nikogo nie było na razie, ktoby się mógł zająć jakimiś zarządzeniami. Kilka tylko niezdarnych dzieć wiejskich kręciło się, to niosąc zimne okłady dla stryjaszka Józefa, to niby sprząając, ale wogóle same nie wiedziały czego się chwycić, przerażone i skamieniałe rozmiarami klęski i zbrodni. Stanisław z owiązanem czołem, zniechęcony, smutny, na pół jeszcze zamroczony potężnym ciosem w głowę, chodząc chwiejąc się po spustoszonych pokojach i na tyle tylko zdobył się inicjatywy, że wysłał furmana Jędrka z końmi po doktora. Zresztą ogarnięty zwykłym sobie pesymizmem, jak na teraz do pewnego stopnia usprawiedliwionym, poszedł do pokoju stryjaszka Józefa i położył się u niego na otomanie, bo w swej sypialni, zrujnowanej zupełnie, nie mógł tego uczynić i stękał i narzekał i przeklinał świat i ludzi.

Stryjaszek Józef leżąc w łóżku z kolanem obło-

żonem mokremi okładami, słuchał tego wszystkiego, przypominał niektóre epizody z nocnego napadu i ciągle powtarzał o spóźniających się karabinierach z operetki.

— Wszystkiemu, całemu temu nieszczęściu jest winien Antek — mówił Stanisław.

— A to jakim sposobem, serce?

— Takim, że swoim gadaniem i zapewnieniem, że napadu nie będzie, uspił moją czujność i oddał nas bezbronnych na pastwę Jasińskiego i jego szajki.

— Hm! może ty i mający rację, ale na cóż teraz zdadzą się wszelakie oskarżenia, kto winien. Musztarda po obiedzie. Stało się i mnie oto kolano szpetnie boli. Jakże ja tera będę polował na niedźwiedzie i wilki w ihumeńskich borach? Niechaj to dyabeł porwie. Ale taki powiedz ty mnie, gdzie jest ten Antek zdrajca?

— Albo ja wiem! Kiedym mu tam w korytarzu powiedział, że Jasiński porwał Anielkę, poleciał go zabijać, jak mówił, i więcej go moje oczy nie widziały.

— Może go te szelmy zbójce gdzie zamordowały?

— Może.

Stryjaszek Józef, usłyszawszy tę obojętną odpowiedź, spojrzął na Stanisława, poruszył się niespokojnie, a uraziwszy kolano syknął z bólu i rzekł:

— Taż serce, trzeba coś robić, coś poradzić. Gdyby nie moje kolano, które nie pozwalające mi się ruszać, to jaby tu zaraz porządek zrobił.

— Cóżby stryjaszek zrobił?

— Dużo serce, dużo. Jaby zaraz posławszy po lekarza.

— Jużem posłał, ale cóż on poradzi! Pani Zenobii nie wskrzesi, panny Anieli nie powróci i rozmodlonej pani Schmid nie wskrzesi.

— Ale jaby dał znać do władzy, do stanowego prystawa, do żandarmów.

— Niema teraz władzy, niema stanowego prystawa, ani żandarmów. W X. jest socyalna rzeczpospolita, a oni przecież swoich ścigać nie będą, ile że Jasiński jest tam dygnitarzem.

Stryjaszek Józef znów się poruszył niespokojnie, uraził kolano i syknął, a po chwili rzekł:

— Taki mnie się widzi, że Jasiński na własną rękę dokonał napadu, a członkowie rzeczpospolitej o tem nie wiedzący. Należy do nich się udać, skoro władz rządowych niema.

— Do kogo się mam udać?

— Ano do tych panów z rzeczpospolitej.

— Chyba stryjaszek żartuje. Gdzież ja ich mam szukać?

— Taż ja nie wiem. Ale skoro ani tych ani tamtych nie chcesz, to udaj się do gubernatora. Taki on coś pomoże.

— Nie chcę do nikogo się udawać, nie życzę sobie, by mi policja na kark spadła. I tak już mam z nią przykrą sprawę o trupa jakiegoś powstańca, znalezione w wydrażonej dziupli starej wierzby na moim gruncie. Nic nie chcę i niech ich dyabli wezmą!

Rozmowę przerwało wejście dziewczki, Kaśka imieniem, niosącej świeży okład, a że do operacji tej zabierała się niezręcznie i ciężko, więc stryjaszek Józef syknął i klął na czem świat stoi wszystkich bandytów i wszystkie niezgrabne Kaśki, a Stanisław śmiał się, ziewał głośno, w końcu wyciągnął się na otomanie i usnął.

Koło południa przyjechała prosta furą chłopską, w t. zw. gnojnicach, siedząc na wiązce słomy, panna Aniela. Była tylko w bieliźnie i boso, otulona kołdrą, tak jak ją porwano w nocy z pościeli. Była przerażona mocno i niestworzone rzeczy opowiadała o swej, jak ją nazywała, niewoli. Mówiła tedy że Jasiński wsadził ją do bryczki, stojącej za ogrodem na drodze, i powiózł do jakiejś chałupy, której położenia ani miejsca oznaczyć nie była w stanie. Twierdziła tylko, że chałupa ta znajduje się gdzieś na polanie wśród lasu, który ją otacza dokoła, że składa się z dwu izb, i że w niej prawdopodobnie mieścić się musiała drukarnia, bo znalazła w niej dużo porozrzucanych czcionek i podarte szczątki gazety p. n. „Proletaryat“. Stanisław napróżno się biedził i wypytywał się i w żaden sposób nie mógł odgadnąć gdzieby się ta chałupa tajemnicza znajdować mogła.

— Ale jakże się pani z niej i z łap Jasińskiego wydostała? — pytał.

— Jasińskiego tam wcale nie było. Przyniósł mię tylko, oddał w ręce onych trzech, jak je Antos nazywa, nihilistek z ostrzyżonymi włosami, a sam zaraz gdzieś odjechał.

— I nie widziała go pani więcej?

— Nie.

— A cóż pani robiła w tej chałupie?

— Nic. Nihilistki te były dla mnie dość grze-

czne i uprzedzające, ale miałam to wrażenie, że mię pilnują. Zresztą, gdy się dzień zrobił, zauważyłam, że przed chałupą stróżuje dwóch drabów o bardzo podejrzanych minach. Byłam mocno przerażona tem wszystkim, było mi zimno, ale nie traciłam odwagi i postanowiłam sobie, że jak tylko Jasiński się zjawi, to mu oczy wydrapię.

— Bagatela! — mruknął stryjaszek Józef, przyśluchujący się w milczeniu tej rozmowie — ale taki Jasiński się nie zjawił?

— Nie.

— I oczy jego ocalały. Hi! hi! hi!

— A ocalały, ale ja mu tego gwałtu nie daruję.

— No tak... tak się to mówi — rzekł Stanisław — ale ostatecznie jakimże sposobem wydobyła się pani z owej tajemniczej chałupy, z pod straży trzech nihilistek i dwóch podejrzanych drabów?

— Wcalem się nie wydobywałam, oni sami mię opuścili.

— Nie rozumiem.

— Była może godzina dziesiąta rano, kiedy przyjechał jakiś młody żydek, z miną mocno wystraszoną, poszwargotał coś szeptem z drabami i nihilistkami i całe to towarzystwo nie mówiąc nic, z wyraźnym pośpiechem i strachem wyniosło się a mnie zostawiło samą.

— Niestychane rzeczy! — zawołał Stanisław — i cóż pani sądzi, co to znaczyło?

— Nie wiem. Z początku myślałam, że powrócą, ale gdy mijały godziny i nikt się nie pokazywał, zabrałam się i chałupę tę opuściłam. Najgorszem było to, że nie wiedziałam, gdzie się znajduję i gdzie są Góry. Przytem byłam boso, a dzięki głupiemu wychowaniu nie umiałam chodzić po igłach, kamieniach i piaskach i nogi sobie pokaleczyłam. Ale trudno, w chałupie tej nie mogłam pozostać, bo najprzód moi stróże mogli wrócić, a potem głód poczęł mi dokuczać. Puściłam się tedy w drogę na chybił trafił, błakałam jakiś czas po lesie, wreszcie spotkałam tego chłopca, który mię przywiózł, a że jechał w stronę Gór, więc za obietnicę sutego wynagrodzenia zgodził się mię zabrać, choć podejrzliwie mi się przypatrywał, a mogłam w istocie wzbudzić podejrzenie będąc w koszuli, owinięta kołdrą tylko. Taka była moja Odysseja.

Usmiechnęła się smutno i zapytała:

— A gdzież jest pan Antoni?

Objaśniono ją, że dowiedziawszy się o jej porwaniu, pobiegł ją ratować i odtąd niema o nim żadnej wiadomości. Wiadomość ta zasmuciła ją, poczęła snuć najgorsze przypuszczenia, pomimo znużenia i wyczerpania, postanowiła niezwłocznie udać się do X. w celu odszukania narzeczonego, lub pomszczenia jego śmierci i to przypuszczała, że padł ofiarą bandytów i stryjaszka Józefa, pomimo próśb matki, wystraszona natychmiast.

Tymczasem Antkowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Wydostał on się z obłąkanego przetrwania bandytów dworu w Górach, wtedy dopiero, gdy dokonawszy rabunku pieniędzy, wynieśli się równie szybko, jak przyszli. Nie wiedząc gdzie szukać Anielki i Jasińskiego, po krótkim namyśle, postanowił udać się do X., zwołać tam radę najwyższą nowej rzeczpospolitej, której to rady był członkiem i opowiedzieć jej historię napadu na Góry i domagać się ukarania Jasińskiego i jego bandy.

Na szczęście, gdy przybył do X. dzień już był widny i nowa siła zbrojna, złożona z kilkudziesięciu ludzi, odbywała już ewolucje wojenne na rynku miasteczka, którym przypatrywały się tłumy żydaków i żydówek brudnych i obszarpanych. Nie mało jednak musiał Antek ponieść trudów i stracić parę godzin, nim zdołał zwołać ową radę najwyższą, gdyż członkowie jej, po pracach i wzruszeniach dnia poprzedniego, zasypiali jeszcze w najlepsze, pewni, że ich improwizowanej rzeczpospolitej nie zagraża w tej chwili żadne niebezpieczeństwo, i że ich nadziei uszczęśliwienia ludzkości nic nie zakłóci.

To też nadzwyczajnie byli zdziwieni, gdy im Antek opowiedział historię napadu na Góry i gdy oskarżył o to Jasińskiego. Mowę swoją zakończył temi słowy:

— Jesteśmy socyalistami, stworzyliśmy republikę socyalną, ale jesteśmy ludźmi idei, nie zbrodniarzami. Takie czyny jak napad na Góry, zabicie bezbronnej kobiety, porwanie innej, rabunek pieniędzy, plami nasze czyste zamysły i winny uledek surowej karze. Domagam się tej kary, domagam się, by śmierć kobiety była pomszczona, by odszukano Jasińskiego, odebrano mu pannę Anielę Schmidt i ukarano jak należy, by dano surowy przykład i zapewniono w naszej rzeczpospolitej bezpieczeństwo osobiste jej obywatelom a naszym towarzyszom i towarzyszkom.